

PODRÓŻ(E) NA KRESY ZE ZBIGNIEWEM ŻAKIEWICZEM

O Kresach pisać jest i łatwo, i trudno. Zajmują one w polskiej świadomości (i podświadomości) zbiorowej miejsce szczególne. I choć w rezultacie drugiej wojny światowej, a ściślej na mocy decyzji przywódców zwycięskich mocarstw znalazły się poza granicami Polski, to jednak cały czas są one obecne na różne sposoby w naszym myśleniu. Pewien Rosjanin, a więc człowiek patrzący z zewnątrz, porównał znaczenie Kresów dla Polaków, ze znaczeniem Kosowa dla Serbów. Choć ziemie te są już na zawsze utracone i na poziomie racjonalnym przyjmuje się to do wiadomości (Jerzy Giedrońc i całe środowisko paryskiej „Kultury” włożyło wiele wysiłku w to, by nakłonić rodaków do ostatecznego pogodzenia się z tym faktem i ułożenia jak najlepszych relacji ze swoimi wschodnimi sąsiadami), to jednak w sferze kolektywnych emocji i mitów są one nadal silnie obecne. Bierze się to prawdopodobnie z wiary, nie do końca przez ogół uświadamianej, że właśnie tam, na Kresach rozgrywały się najważniejsze zdarzenia określające w sposób decydujący nasz los. Tam odnosiliśmy i wielkie zwycięstwa i ponosiliśmy ciężkie klęski, przy czym te ostatnie wskutek swojego traumatycznego charakteru silniej zapadły w zbiorową pamięć historyczną. Ustanowienie powojennej granicy, połączone z opuszczeniem (bynajmniej niedobrowolnym) tych ziem przez gros ludności polskiej, nie osłabiło, ale — odwrotnie — wzmocniło szczególnie ich traktowanie.

Wszystko to sprawia, że i pisanie o Kresach również odznacza się swoimi osobliwościami. W tym wypadku sam temat jakby podsuwa gotowe szablony i językowe klisze. Zdaje się, że jakby z góry zadawał ton i wyznaczał — jak w dawnej retoryce — określony rejestr stylistyczny. Z jednej strony ułatwia to zadanie piszącemu, ale z drugiej grozi wpadnięciem w oklepane frazesy i sztampy. Ta władza tematu nad piszącym wynika, być może, też z tej okoliczności, że Kresy stały się mityczną krainą, realną i nierealną zarazem, w dużym stopniu dzięki literaturze. Jest ona oplątana gęstą siecią literackich obrazów i skojarzeń i może służyć za przykład ścisłych związków miejsca, topografii, przestrzeni geograficznej i poezji. Mamy tutaj do czynienia ze swoistym sprzężeniem zwrotnym, polegającym na tym, że z nie do końca wiadomych wyroków boskich tereny te okazały się bardzo urodzajne pod względem ilości talentów literackich. Romantyzm rodem z Wilna, „szkoła ukraińska” w poezji to szkolne podręcznikowe przykłady. Potwierdza to również wiek dwudziesty: dwaj najwięksi poeci polscy — Czesław Miłosz i Zbigniew Herbert reprezentują odpowiednio Wilno i Lwów. Twórcy ci tworzyli sugestywne obrazy swoich „małych i wielkich ojczyzn”, powołując do życia odrębny nurt w literaturze polskiej, który (analogicznie do konceptu Władimira Toporowa) moż-

na by nazwać „tekstem kresowym” literatury polskiej. Udział literatury w tworzeniu i podtrzymywaniu mitu kresowego jest olbrzymi, jak w ogóle jej rola w życiu i kulturze narodu pozbawionego przez długi okres państwowości i, co za tym idzie, normalnego „metabolizmu informacyjnego”.

Zjawisko „kresów” nie jest czymś wyjątkowo polskim. Wiele narodów w Europie (choćby Niemcy, Węgrzy, Austriacy, Finowie) ma swoje kresy, które obdarza podobnym uczuciem. Samo to uczucie, które badacze „geokulturologii” nazywają topofilią, wpisuje się w szerszy kontekst emocjonalnych związków człowieka z daną przestrzenią i z tym wszystkim, co się na niej znajduje (dziwy przyrody, uroki krajobrazu, jak i wytwory kultury, czyli noosfery). Wszystkie te kresowe topofilie i nostalgje mają swój niepowtarzalny koloryt, które są trudno dostępne dla nosicieli innej kultury. Z kolei ludzie, którzy wyrosli w danej kulturze i przeżyli w niej całe swoje życie, nie mogą z powodu braku koniecznego dystansu zdobyć się na jej w miarę obiektywną charakterystykę.

Taki dystans jest udziałem ludzi, którzy spędzili dzieciństwo na Kresach, a później musieli je w różnych okolicznościach opuścić. Adam Mickiewicz stworzył archetypiczny wzór przeżywania „pożegnania z ojczyzną”, które nie kończy się na lamentacjach z powodu utraty „kraju lat dziecinnych” i jego bezkrytycznej idealizacji, ale owocuje wybitnymi dziełami. Utratę przekuwa się w wartość. Staje się ona siłą napędową i motywacją dla twórczości. Do tego wzoru świadomie lub podświadomie odwołują się liczni wygnańcy z dziecinnej Arkadii. Niektórym z nich udało się po latach powrócić do niej, skonfrontować obrazy utrwalone w najgłębszych warstwach pamięci, doznać zachwyty lub rozczarowania. Same decyzje powrotu i ryzyka takiej konfrontacji nie są łatwe. Mogą one być różne. Miłosz (by się ograniczyć do wspomnianych poetów) w nowej rzeczywistości politycznej i po odzyskaniu pełnej niepodległości zaryzykował wyjazd na Litwę, gościł w Szetejnach i był triumfalnie witany w Wilnie. Herbert natomiast nie chciał słyszeć o odwiedzinach „zrabowanego miasta ojców”.

Chciałbym opowiedzieć o jednej takiej „podróży sentymentalnej”, która wzbogaciła literaturę polską o wartościowe dzieła. Odbyła się ona w pierwszej połowie sierpnia 1976 roku, zaś „podróżnikami” byli Zbigniew Żakiewicz i piszący te słowa. Byliśmy wówczas „młodszyimi pracownikami naukowymi” w Uniwersytecie Gdańskim, Żakiewicz był już wtedy uznanym prozaikiem ze średniego pokolenia, autorem kilku dostrzeżonych przez krytykę i czytającą publiczność utworów: *Rodu Abaczów*, *To sen tylko Danielu*, *Białego karła*, *Czteropalcu*. Był pisarzem w pełni ukształtowanym, z własną rozpoznawalną, jakby powiedział Miłosz, dykcją. Ale stał na rozdrożu (świadczą o tym choćby powyższe tytuły), jeśli idzie o wybór generalnej linii tematycznej, swojego poletka (każdy znaczący pisarz takowe posiada), umożliwiającego „wysoki lot wyobraźni”. Zналиśmy się od drugiej połowy lat sześćdziesiątych, przy czym znajomość osobistą w moim przypadku poprzedziła znajomość tekstów, głównie eseistycznych, zamieszczanych przez Zbigniewa Żakiewicza w „Tygodniku Powszechnym” i „Więzi”. Czasopisma te prenumerował mój ojciec, który był najmłodszym wójtem w Drugiej Rzeczypospolitej. Urząd ten piastował w miasteczku Żodziszki, malowniczo położonym nad Wilią, osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Wilna. Kiedy powiedziałem mu, że w Gdańsku spotkałem autora tych artykułów (który po krótkim czasie obdarzył mnie swoją przyjaźnią), to usłyszałem, że jeden z Żakiewiczów, Hen-

ryk, był sekretarzem w gminie, której przewodził. Okazało się, że to był to stryj Zbyszka (myślę, że mogę użyć tu formy zdrobniającej, co jest również dodatkowo uzasadnione wielogatunkowym charakterem niniejszego tekstu, będącego po części spóźnionym nekrologiem, wspomnieniem, pamiętnikarską, prywatną relacją z podróży, wreszcie historyczno-krajoznawczym i filologiczno-przyczynkarskim komentarzem do twórczości pisarza).

Wyruszyliśmy zatem pięknego sierpniowego poranka (pogoda była dla nas łaskawa przez całą naszą dwutygodniową podróż) na wschód jako krajanie z sąsiadujących ze sobą powiatów, którzy mają wspólny cel: odwiedzenie rodzinnych grobów (w moim wypadku także licznej gromadki dalszych i bliższych krewnych, którzy pozostali za Niemnem) i ożywienie dawnych obrazów, który każdy z nas trzymał od lat pod powiekami. Najpierw pociągami z Warszawy dotarliśmy do Wilna, skąd po parodniowym postoju ruszyliśmy do wspomnianych Żodziszek, które na jakiś czas stały się dla nas bazą wypadową dla rozjazdów po bliższej i dalszej okolicy.

Parę słów o tym miasteczku, o dość starej historii i kilku pozostałych po niej zabytkach. Jednym z nich jest kościół z 1612 roku, będący pierwotnie zbrojem kalwińskim. Podobny zbór istniał też w nieodległych Smorgoniach, co świadczyłoby o dużych wpływach reformacji na tych terenach. Z tych samych czasów pochodzi konwikt jezuitki, po kasacji zakonu przemieniony w szkołę Komisji Edukacji Narodowej. W okresie międzywojnia mieścił w sobie wszystkie instytucje publiczne gminy Żodziszki: urząd gminny, szkołę, pocztę, posterunek policji. Istnienie miasteczka odnotował Jan Chryzostom Pasek w *Pamiętnikach*. Prowadząc ze swoją chorągwią podjazdową wojnę z „Moskwą” we fragmencie, odnoszącym się do 1662 roku, napisał: „Poszedłem tedy i nie popasałem aż w Żodziszkach”. Na miejscowym cmentarzu, przechowującym ślady przeszłości, można znaleźć groby właścicieli okolicznych majątków — Bokszkańskich, Miłoszewskich, Chociłowskich, a obok nich miejsca doczesnego spoczynku prochów moich przodków — Żyłków, Damuciów, Gryszkiewiczów. Przy głównej alejce stoi okazały obelisk, wyciosany z dużego polnego głazu z przymocowanym solidnym godłem i napisem: „8 żołnierzy polskich poległych w 1920 r. Cześć ich pamięci!”. Historia tego pomnika jest następująca (cytuję fragment wspomnień Feliksa Żyłki, ówczesnego wójta, jednego z inicjatorów jego budowy):

„Na terenie naszej gminy znajdowały się mogiłki polskich żołnierzy, poległych w 1920 roku. W porozumieniu z księdzem Droniczem postanowiliśmy szczątki tych żołnierzy przenieść na cmentarz parafialny w Żodziszkach i postawić pomnik dla uczczenia ich pamięci. Proboszcz ogłosił z ambony, że będą zbierane ofiary na budowę pomnika. Odpowiedni pomnik zgodził się zrobić mieszkaniec wsi Martyszki, Żuromski. Na ten cel miał upatrzony duży głaz, z którego można wyciosać pomnik przekraczający 3 metry wysokości. Pomnik miał kosztować 500 zł. W sierpniu pogrzebano na cmentarzu ekshumowanych żołnierzy, i odprawiono mszę w ich intencji. Salwę honorową oddała miejscowa policja, wartość honorową pełnili strzelcy z Żodziszek. Zimą 1936 roku specjalnie przygotowanymi saniami, do których wprzęgnięto 12 koni, przetransportowano głaz z oddalonego o 10 km pola na cmentarz. Głaz z trzech stron był ociosany, frontowa strona była wyszlifowana, napisano na niej złożonymi literami, kto tam spoczywa. W górnej części pomnika umieszczono tarczę metalową z białym orłem na czerwonym tle. Tarczę ofiarowali dwaj dyrektorzy fabryk ze Śląska, którzy

tego lata przebywali na wakacjach w majątku Tupalszczyzna. Odsłonięcie i poświęcenie pomnika odbyło się w sierpniu tego roku. Pomnik ten przetrwał okupację hitlerowską i inne zmiany zaszele po II wojnie światowej. Gdy odwiedziłem moje rodzinne strony w 1974 roku, byłem też na cmentarzu w Żodziszkach, gdzie leżą moi rodzice i z zadowoleniem zobaczyłem pomnik. Wyglądał, jakby był niedawno postawiony, był starannie zadbany” (wspomnienia były spisywane w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku).

Obecnie wchodzącego na cmentarz wita jeszcze jedna znamienna mogiła, kryjąca doczesne szczątki ks. Stefana Zapaśnika, wieloletniego proboszcza parafii żodziskiej. W sierpniu 1976 roku, kiedy po przybyciu do Żodziszek i zakwaterowaniu się u mojego kuzyna, Feliksa Gromyki, udaliśmy się w najbliższą niedzielę do kościoła, zobaczyliśmy przy ołtarzu sędziwego, dziewięćdziesięcioletniego starca, podtrzymywanego przez parafian. „Zaiste, scena jak ze Słowackiego” — zapamiętałem te słowa Zbyszka, wypowiedziane po wyjściu z kościoła. To szlachetna postać kapłana, który do końca trwał na swym posterunku. Kościół i parafia w Żodziszkach obejmowała niemal całą ludność przedwojennej gminy, która wyznaniowo była prawie jednolita. Tego jednak nie można powiedzieć o składzie narodowościowym. Przed wojną sporą aktywność przejawiał tutaj białoruski ruch narodowy. Miał on swojego rzecznika w osobie ks. Wincentego Godlewskiego, ideologa tego ruchu, który dla jego propagandy w latach dwudziestych nie zawahał się wykorzystać ambony. Pretekstem okazał się język kazań, którym wedle ks. Godlewskiego miał być białoruski. Wzbudziło to opór ze strony polskiej części parafian i w rezultacie doprowadziło do zamieszek. Musiała interweniować miejscowa policja i zrobiło się spore zamieszanie. Sprawa stała się głośna na całą Polskę, pisały o niej centralne dzienniki. Ks. Godlewski stanął w marcu 1926 roku przed sądem w Wilnie i został prawomocnie skazany za szerzenie niesnasek narodowościowych — jak głosił wyrok — „na dwa lata zamknięcia w twierdzy”. Na procesie tym w roli świadków oskarżenia wystąpili moi rodzice i dziadkowie oraz Henryk Żakiewicz. W sumie była to postać tragiczna. Dla sprawy, czyli niezależnej Białorusi układał się z różnymi siłami. Białoruski nacjonalista, w czasie drugiej wojny światowej próbował kolaborować z Niemcami (był głównym inspektorem szkolnym w marionetkowym „rządzie białoruskim” w Mińsku). Jego prawdziwe intencje zostały jednak przez hitlerowców rozszyfrowane. Rozstrzelali go w wigilię Bożego Narodzenia 1942 roku (o czym pisze w jednej ze swych książek Józef Mackiewicz).

Żodziszki dotknęła też swoją ciężką ręką i wielka historia. W czasie pierwszej wojny światowej niedaleko przebiegał front, który utkwiał tu na długo. Pod Smorgoniami Niemcy użyli gazu bojowego. Jedną z poszkodowanych osób był Stanisław Ignacy Witkiewicz. Pozostałościami po tym konflikcie są betonowe filary mostów na Wilii (Niemcy kolejką wąskotorową dowozili zaopatrzenie niemal na pierwszą linię) i resztki kościelnej dzwonnicy, którą żołnierze Kaisera wysadzili w powietrze, by nie pomagała artylerii rosyjskiej wstrzeliwać się w ich pozycje. W okolicy rozsianych jest wiele żelbetonowych budek strażniczych przy drogach i tak samo silnie umocnionych gniazd karabinów maszynowych. W czasie drugiej wojny światowej Żodziszki i cała gmina były terenem starć oddziału Armii Krajowej (z legendarnej V brygady, którym najpierw dowodził ppor. Antoni Burzyński, pseudonim „Kmicic”, a w ostatnim okresie rotmistrz Zygmunt Szendzielarz, słynny „Łupaszko”) z partyzantką sowiecką. Jedną

z najbardziej znanych akcji bojowych tamtejszych akowców było brawurowe zajęcie Żodziszek latem 1943 roku i rozbrojenie licznego garnizonu niemiecko-białoruskiego.

Z Żodziszek robiliśmy krótsze i dłuższe wypady do sąsiednich parafii. Nasz gospodarz, a mój kuzyn, Feliks Gromyko był naszym kierowcą i po trosze przewodnikiem. Został niedawno szczęśliwym właścicielem nowej „Łady”, którą kupił za bony, będące jego częścią spadku po zmarłym krewnym w Ameryce. Na czas naszego pobytu wziął urlop i, jak to się mówi, oddał się do naszej dyspozycji.

Białą „Ładą” mogliśmy objeżdżać interesujące nas miejsca. Zaczęliśmy od sąsiednich miejscowości, które przed wojną były ośrodkami gminnymi. W Wiszniewie, dziesięć kilometrów oddalonym od Żodziszek, znaleźliśmy dość dobrze zachowany, czynny nadal kościół. Tutaj przyszedł na świat Mieczysław Karłowicz, wybitny kompozytor, który jednak nad uroki rodzinnego krajobrazu przedłożył wysokie granitowe góry. Jego ojciec, Jan Karłowicz, był współautorem wielkiego słownika języka polskiego. Po dworze zachowały się jedynie fundamenty i resztki parku. Również dziesięć kilometrów od Żodziszek, ale w kierunku wschodnim, znajduje się Wojstom, ni to wieś, ni to małe miasteczko, z dużą bryłą kościoła pośrodku. Miejskowa parafia jest stara, ale kościołowi obecny kształt nadano w ostatnich latach II Rzeczypospolitej. Na cmentarzu wojstomskim pochowany został Ignacy Chodźko (jego grób zachował się w dobrym stanie), pisarz późnego, „krajowego” romantyzmu, autor wielotomowych *Obrazów litewskich*, które weszły do klasyki typowo polskiego gatunku literackiego — gawędy szlacheckiej. Chodźko po wycofaniu się z czynnego życia literackiego osiadł w rodzinnych Dziewiętniach, by spocząć w niedalekim Wojstomie. Wybraliśmy się też na północ, do Niestaniszek z dużym neogotyckim kościołem pod wezwaniem Matki Bożej Dobrej Rady. Zastanawia ilość neogotyckich świątyń na tamtych terenach. Niektóre z nich, jak na przykład kościół w Gierwiatach, są naprawdę wielkiej urody. Istnieje opinia, całkiem prawdopodobna, że wybór tego stylu był uzasadniony tym, że takie kościoły trudno było przemienić w prawosławne cerkwie. Pamiętano o takich działaniach władz carskich po powstaniu styczniowym (wspomniany neoklasycystyczny kościół w Wiszniewie został przekazany po upadku powstania cerkwi rosyjskiej i został rewindykowany dopiero po odzyskaniu niepodległości). Wróćmy do Niestaniszek, które zapamiętałem z wczesnego dzieciństwa, kiedy z rodziną konnym zaprzęgiem przyjechałem (a ściślej: przywieziono mnie) na pogrzeb ciotki Anny. Była wiosna, kwitły krzewy jaśminu, wydzielając intensywną woń (ten zapach od tamtej pory zawsze kojarzy mi się z cmentarzem). Zaczęliśmy bezskutecznie szukać grobu (zapamiętałem, że był po lewej stronie kościoła; widać bowiem było jego wysokie, powiększone jeszcze przez dziecięcą perspektywę, ściany). W pobliżu znaleźliśmy natomiast wielu Miłoszów, całą dużą kwaterę. Może to ich miał na myśli najślynniejszy z Miłoszów, kiedy w licznych autobiograficznych wypowiedziach, powracając do genealogii swojego rodu, parokrotnie wspomina, że jeden z jego antenatów przed laty wyemigrował na wschód i osiadł na Białorusi. Ale są to zupełnie luźne przypuszczenia. Sam noblista podchodził do swojego rodowodu z przymrużeniem oka, niezbyt serio traktując te polskie fascynacje sygnetami i herbami, które uważał za dziedzictwo Polski szlacheckiej.

W połowie naszego pobytu postanowiliśmy odbyć najdłuższą wyprawę. Wczesnym rankiem ruszyliśmy na północ w kierunku największego jeziora przedwojennej Polski

— Naroczy. Po przejechaniu dwudziestu paru kilometrów i minięciu znajomego już Wiszniewa zatrzymaliśmy się w miasteczku Świr, leżącym przy końcu długiego rynnowego jeziora o tej samej nazwie. Miejscowość ta utkwiała w mojej pamięci głównie z tego względu, że w 1951 roku przed Rejonowym Sądem Ludowym stanął mój ojciec. Oficjalnie zarzucano mu zaległości podatkowe i zatrudnianie w swoim gospodarstwie rolnym pracowników najemnych. Sentencja wyroku, który szczęśliwie zachował się, brzmiała: „Feliksa Żyłko poddać karze pozbawienia wolności w wychowawczych zakładach pracy na okres dziesięciu lat z konfiskatą całego majątku”. Reszta rodziny wiosną następnego roku została zesłana do południowego Kazachstanu. Ojciec dołączył do nas w 1954 roku (już po śmierci Stalina), zaś dwa lata później w atmosferze Chruszczowskiej odwilży i nadciągającego „polskiego października” (ciekawe, że do Kazachstanu docierały echa wydarzeń w Polsce, między innymi poznańskiego czerwca) udało się w ramach tzw. repatriacji powrócić do kraju. Z tamtego Świra zapamiętałem zablocony plac z łagodnym zejściem do brzegu jeziora i rozstawione na nim głośniki. Jakiś lektor czytał, jak dzisiaj sędzę, jakiś tekst, pewnie gazetowy wstępniak.

Świr z sierpniowego poranka 1976 roku też sprawiał dość przygnębiające wrażenie. Snujący się leniwie ludzie (była to niedziela), głównie mężczyźni. Niektórzy oferowali tanie pokoje i łódkę, z której można łowić ryby. Kościół w eklektycznym stylu z połowy XVII wieku był otwarty, ale bynajmniej nie zapraszał na niedzielną eucharystię. Był pusty, jeśli nie liczyć paru wywróconych konfesjonałów (widocznie nie wiadomo, jaki z nich można zrobić użytek). Wewnątrz latały dzikie gołębie, zabrudzając posadzkę i wszystko, co się dało.

W nienajlepszym nastroju wsiedliśmy do „Łady” i popędziliśmy traktem Batorego w stronę Naroczy. Przystanęliśmy na chwilę na jej wysokim brzegu. Posrebrzona falami tafla wody z ledwie widocznym brzegiem po drugiej stronie. Ani jednego żagla, widok nie do porównania z zatłoczonymi nawet wówczas Mazurami. Pustkę na wodzie rekompensowało niebo pełne białych puszystych obłoków. Tamtejsze obłoki wyróżniają się fantastycznością kształtów. Wiąże się z nimi kolejne wspomnienie z dzieciństwa. Leżę na jakimś posłaniu na furmance, powożonej przez babkę Marylę (dziadek w łagrze). Leżę na wznak i obserwuję płynące wolno obłoki. Dziecięca wyobraźnia przemieniała je w bajkowe napowietrzne budowle i stwory. Pewnie jest w nich coś, co fascynowało poetów od Mickiewicza po Miłosza. Herbertowi obłoki na włoskim niebie nad Ferrarą przypominały greckie łodzie, widziane od spodu, tak jak były przedstawione na obrazie Ghirlandaja. Herbert nawet naturę oglądał przez pryzmat kultury. Zaś Mickiewicz i Miłosz są bardziej poetami północy i w obłokach widzą przejaw groźnych i potężnych żywiołów, przed którymi można uciec tylko w sen. Mnie zaś najbardziej intrygowało to, czy ta biała cukrowa wata byłaby w stanie udźwignąć mnie i nasz wóz z kobyłką i ciężkim chomątem i dugą, rodzajem pałaka (niespotykanego w Polsce centralnej), spinającego hołoble nad szyją konia.

Po krótkim postoju pomknęliśmy dalej, przejeżdżając przez Miadzioł, główną miejscowość turystyczną. Nie zatrzymywaliśmy się także w Wilejce, stolicy naszego przedwojennego powiatu i skręciliśmy na szosę do Mołodeczna. Z Mołodecznem (w prozie Żakiewicza występuje jako „Mołojcewo”) wiążą się ważne zdarzenia w życiu Zbyszka. Tutaj jako dziecka, a potem rozumiejącego już wiele podrostka dotknęła wielka historia: wrzesień 1939 roku i pierwsza okupacja sowiecka, potem niemiecka

i powtórne nadejście Armii Czerwonej latem 1944 roku. Zatrzymaliśmy się, by ruszyć na poszukiwanie śladów sprzed ponad trzydziestu laty. Odnaleźliśmy duży dom, pomalowany na żółto, dawny dwór, w którym upłynęły te, brzemienne w rozmaite skutki, lata. Przemieszkiwali w nim niechciani goście ze wschodu, oficerowie „robotniczo-chłopskiej armii czerwonej” (bo tak wówczas oficjalnie nazywała się armia sowiecka). Niedaleko od domu był niewielki park, właściwie skwer, wysadzony wysokimi lipami. Pośrodku tworzą one regularne koło, od którego wychodzą aleje na cztery strony świata. Zbyszek pokazał mi też dużą betonową platformę, na której miał stanąć nowy kościół. Jego budowniczym był energiczny ksiądz (w Wilczych łąkach występuje on jako „ksiądz Zawada”), ale niezbyt przeniknięty duchem kresowego ekumenizmu, bo tę energię spożytkowywał także w niezbyt zbożnych celach, a mianowicie na burzenie pod osłoną nocy prawosławnych kapliczek. To wszystko opowiedział mi na miejscu Zbyszek, mocno podekscytowany tym rozpoznawaniem „miłych sercu drobiazgów” i przypominaniem związanych z nimi zdarzeń.

Z Mołodeczna-Mołodceja popędziliśmy z powrotem na zachód, bez powtarzania wszakże drogi. Obraliśmy marszrutę na Smorgońszczyznę, a ściślej szereg większych i mniejszych miejscowości — miasteczek, wsi, zaścianków — które tak czy inaczej były wplątane w rodzinną mitologię Żakiewiczów. Po drodze zrobiliśmy postój w Krewie, znanego wszystkim z podręczników historii z unii personalnej zawartej między Polską a Wielkim Księstwem Litewskim. Z dużego zamku pozostały tylko zewnętrzne kamienno-ceglane mury z resztkami narożnych baszt. W jednej z nich Niemcy w czasie pierwszej wojny światowej umieścili gniazdo ciężkich karabinów maszynowych, po którym pozostała gruba betonowa płyta, służąca za przykrycie, która z czasem osunęła się na ziemię. Pod murami pasły się uwiązane na łańcuchach świny, ciemnej, prawie czarnej rasy. Na środku dziedzińca, nierównego i porośłego trawą, stał traktor z włączonym silnikiem, a na ziemi, obok maszyny, spał mężczyzna, pewnie traktorzysta. Przyczyny jego nagłego zasłabnięcia można się było domyślać.

Po opuszczeniu zapuszczonego, choć ciekawie położonego Krewa i przecięciu traktu napoleońskiego wjechaliśmy w magiczną krainę, której główną oś wyznaczała szosa, niegdyś pewnie gościniec, na której jak na nici kolejno były nanizane miejscowości: Lebedziew, Markowo, Bienica, Ponizie, Koty.

Wróciliśmy do niej już nazajutrz, wjeżdżając ze Smorgoń w odwrotnej kolejności. Uznaliśmy, że trzeba przyjrzeć się im bliżej, dotknąć je żywą stopą. Po Poniziu, niewielkim majątku dziadka ze strony matki, właściwie nie pozostało nic. Gdyby nie strumyk, przecinający drogę, niewielki zarośnięty trzciną staw i małe wzniesienie trudno byłoby w ogóle miejsce po nim zlokalizować. Jest ono przykładem ogromnej dewastacji krajobrazu, jaka nastąpiła po wojnie na Kresach. Miała ona dwie przyczyny. Jedną była natura ideologicznej. Chodziło o to, żeby z krajobrazu wyeliminować wszystkie widzialne „przeżytki przeszłości”. Niszczono bezmyślnie pałace, dwory. Niekiedy do fundamentów. Ważnym celem ataków były obiekty architektury sakralnej. Wzmogły się one — paradoksalnie — za rządów Chruszczowa, u którego krytyka „kultu jednostki” połączyła się w dziwny sposób z obsesją antyklerykalną. Kiedy na początku lat sześćdziesiątych ogłosił on utopijny program zbudowania w ciągu lat dwudziestych zrębów społeczeństwa komunistycznego, to publicznie oświadczył, że będzie szczęśliwy, gdy z sowieckich miast i wsi zniknie ostatni pop. Ofiarą tej barbarzyńskiej akcji padło

wiele świetnych zabytków na terenach znajdujących się niegdyś w granicach pierwszej Rzeczypospolitej. Druga przyczyna miała podłoże bardziej ekonomiczne. Tym razem chodziło o stworzenie ogromnych kolchozów w miejsce małych gospodarstw rolnych. Odbywało się to często w ten sposób, że chutory przenoszono do wiosek (z rozbieraniem drewnianych domów i składaniem ich w nowym miejscu), zaś miedze zaorywano. Tej operacji towarzyszyły często nieprzemyślane prace melioracyjne, osuszające bagna i uroczyska (liczne również w okolicach, po których podróżowaliśmy). Te działania miały też podtekst ideologiczny. Ogólny ich sens jest taki, że natura sama ma sprzyjać najbardziej postępowemu ustrojowi społecznemu. Stąd też biorą się inne zjawiska: ruch domorosłych botaników w rodzaju Iwana Miczurina, mania rycia kanałów, która ogarnęła olbrzymi kraj, którym patronowała postać Stalina-czarodzieja, wielkiego demiurga.

Ta ekologiczna dygresja była potrzebna, bo wszędzie mieliśmy poczucie, że jesteśmy świadkami gwałtu popełnianego na naturze. Nie czas i miejsce tutaj, by szukać głębszych korzeni tego zjawiska w kulturze i historii wschodniego sąsiada. To temat na osobną rozprawę. Natura też bywa niszczycielska. Mogliśmy tego doświadczyć, gdy na pobliskim cmentarzu usiłowaliśmy odnaleźć grób Żakiewicza-seniora, zmarłego na wiosnę 1945 roku, w porze roku niedobrej dla chorujących na płuca. Starszą część pochłonął gęsty zagajnik, przez który z trudnością dało się przedzierać. Na grobie ojca (syn miał wówczas niemal trzynaście lat) umieszczono solidny dębowy krzyż, ale widocznie i on nie oparł się czasowi.

Niedaleko cmentarza znajdowała się niewielka tatarska wieś, z której pozostały tylko trzy drewniane chałupy. O tych Tatarach Zbyszek często z sympatią opowiadał, pojawiają się oni też w jego prozie. Matka, z domu Oganowska, miała wedle jego opowieści pochodzić z nobilitowanych w dawnych czasach przez litewskich władców Tatarów. Chałupy prostych schłopiałych Tatarów stały w pewnym oddaleniu w pustym polu, dobrze widoczne w ciepły słoneczny dzień. Zbyszka ciekawiło, czy zastanie kogoś ze starych mieszkańców i poszedł sam sprawdzić to. Po jakimś czasie wrócił. Powiedział, że zastał w jednym domu starszą parę, pamiętającą ludzi i zdarzenia sprzed kilkunastu lat.

Na koniec pojechaliśmy do Bienicy, kiedyś miasteczka, a teraz kolchozowej wsi. W centrum stał kościół, ze ścianami z szarych dużych obciosanych kamieni. Kościół, w którym Zbyszek został ochrzczony (przyszedł na świat w Wilnie). Nie odprawiano już w nim mszy, w ogóle nie był miejscem kultu. Zdaje się, że został zamieniony w magazyn nawozów sztucznych, czy w coś podobnego. Na ulicy i przed dawną, świetną kiedyś budowlą sakralną, snuli się jacyś ludzie. Spojrzenia mieli dość ponure i nie ryzykowaliśmy bliższego kontaktu z nimi. Przejechaliśmy zatem wolno główną ulicą i skręciliśmy na drogę prowadzącą do Smorgoni. Minęliśmy po drodze Zalesie, majątek należący do Ogińskich, kojarzony powszechnie również na Białorusi z autorem słynnego poloneza. Powoli zapadał już zmierzch, na zwiedzanie magnackiej siedziby, a raczej tego, co z niej zostało, nie było już czasu i pojechaliśmy prosto do Smorgoń, a stamtąd do Żodziszek, miejsca naszego postoju.

Przeżyliśmy, głównie na Smorgońszczyźnie, intensywny, bogaty w rozmaite wrażenia, tydzień. Punktowo przedstawiłem najważniejsze zapamiętane miejsca i ludzi. Wracaliśmy do domu przez Wilno (stamtąd dzięki uprzejmości jednej litewskiej

dziennikarki, zrobiliśmy jednodniowy wypad do Kowna, zobaczyliśmy tam ujście Wilii do Niemna, pochodziliśmy parę godzin po stolicy przedwojennej wolnej Litwy). Wsiedliśmy do pociągu i przez Grodno dojechaliśmy do Kuźnicy Białostockiej.

Jakie znaczenie miała ta podróż dla Żakiewicza w perspektywie jego późniejszej twórczości literackiej? Myślę, że duże. Posłużyła ona za detonator, uruchamiający złoża pamięci, znajdujące się w stanie latencji. Po kilku miesiącach zaczął szkicować obrazki, które po trzech latach pracy złożyły się na książkę *Wilcze łąki*, nieprzypadkowo opatrzoną mottem z Mickiewiczowskich wersów o „kraju dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie// Biegł jak po łące”. Odnaczają się one (rzecz nie posiada fabuły jako kośćca konstrukcyjnego, składa się właśnie z „obrazków i scenek rodzajowych” z najbliższego otoczenia dziecięcego narratora, małego Rysia Wołk-Wołczackiego, w którym łatwo można rozpoznać późniejszego autora) dużym sensualizmem, odbiorem świata głównie poprzez zmysły, przy czym szczególnie aktywne są wrażenia zapachowe, smakowe, dotykowe, charakterystyczne dla pierwotnej, „naturalnej” semiotyki. W utworze istnieją one oczywiście za pośrednictwem języka, „wtórnego systemu sygnałowego”, jakby powiedział Iwan Pawłow. W warstwie językowej kresowość ujawnia się w wielojęzyczności, kreolizacji rozmaitych języków i gwar. Widać to choćby na przykładzie toponimów i hydronimów (reprezentują one najstarszą, najbardziej archaiczną warstwę leksyki w każdym języku), którymi ta proza jest nasycona w dużym natężeniu. Dużo z nich pojawiło się u Żakiewicza po raz pierwszy jako znaki przeszłości, kondensujące w sobie historię tamtych ziem. „Po litewsku przemawia ziemia tutaj: Krewa, Oszmiana, Daubuciszki i Żodziszki, Smorgonie i Grażyszki”. Na tym pierwotnym podłożu, substracie — jakby to określili specjaliści od toponimii — nakładały się kolejne wpływy: ruskie, polskie, białoruskie i inne. Innym istotnym, choć spokrewnionym, wyróżnikiem kresowości jest wieloetniczność, która uległa swoistej interioryzacji i ujawnia się w takich choćby rozmyślaniach bohaterów o własnej tożsamości: „Widzisz, i we mnie, i w tobie będą i Litwini, i Rusini, i Tatarzy, i Polacy. Ale ten bigos wysmażyła historia. Ona nam duszę dała taką, która ma pamięć. I ta dusza po polsku płacze”.

Klimaty kresowe określiły także ostatnią książkę z tryptyku wileńskiego, której również patronuje duchowo Adam Mickiewicz: *Wilio, w głębokościach morza*. Miejsca są te same, podróż tylko narrator. Nie jest już małym dzieckiem, usiłującym ogarnąć świat ograniczonym słownikiem (ta dysproporcja była źródłem dziecięcych strachów), ale chłopcem, który przy końcu opowieści i zarazem wielkiej wojny wkracza w trzynasty rok życia. Widzi żołnierzy Hitlera i Stalina, ludzi z leśnej „Organizacji”. Przysłuchuje się trwożnym rozmowom rodziców i sąsiadów, których tematem coraz częściej staje się dylemat wyjeżdżać czy pozostać. Ostatnia scena rozgrywa się na stacji smorgońskiej, gdzie stoją eszelony, do których pakują się ze swoimi skarbami „repatrianci”. W rozmowie, która tam się toczy, pojawia się postać mojego ojca: „Ot, my wyjeżdżamy, a przedwojenny wójt z Żodziszek wrócił z armii Berlinga, chociaż mógł rodzinę na niemieckie ziemie sprowadzić. «Trzeba szykować nasz powrót» — mówi on co bardziej zaufanym ludziom. Żyłka ma on mocna, może dlatego Żyłko się nazywa...”.

Ta sama aura emanuje również z innych późniejszych książek Żakiewicza: kresowo-kaszubskiej składanki mini-opowieści *Ciotuleńka* i eseistyczno-wspomnieniowy tom *Gorycz i sól morza*, w których nostalgia po „raju utraconym” miesza się z zachwy-

tem nad urokami kaszubszczyzny, „raju odzyskanego”. Smorgonie nad Wilią przemieniły się w gdańską Smorgonię.

W sierpniu tego roku ponownie odwiedziłem rodzinne strony. Bez Zbyszka Żakiewicza, który po dwóch trudnych ostatnich latach życia odszedł 24 czerwca 2010 roku na inne łąki. Pojechałem tam z młodszym synem, Karolem, pełniącym dzielnie funkcję kierowcy. Wyruszyliśmy z Gdańska wczesnym rankiem i pod wieczór tego samego dnia (jadąc przez Wilno i skracając sobie drogę) zajęliśmy do Żodziszek. Nie powtarzaliśmy w całości poprzedniej trasy. Chciałem synowi pokazać ślady życia i działalności antenatów, w naszym przypadku — moich dziadków, którzy na początku ubiegłego wieku nabyli od niejakiego Zenona Cywińskiego folwark Sauguciewo, oddalony godzinę jazdy konną bryczką od miasteczka. Urodziłem się pod koniec wojny przy akompaniamencie huku nadciągającego frontu w gospodarstwie ojca, wydzielonym w latach dwudziestych z tej sporej, bo kilkuset hektarowej własności ziemskiej.

Sierpniowa wyprawa była już piątą z kolei. I dopiero teraz ożyły w pamięci poprzednie, tworząc w sumie swego rodzaju palimpsest pamięciowy. Stało się tak dlatego, że właśnie teraz po latach spotkałem (i to dość przypadkowo) moich rówieśników, z którym zaczynałem przed sześćdziesięciu laty edukację szkolną. Przy tym pierwsza szkoła mieściła się w rodzinnym domu. Rozmowa z nimi podziałała jak detonator pamięci (nasza pamięć ma genezę oralną!), powodując przesuwanie się całych bloków wspomnieniowych z obrzeża, na wpół zapomnianych peryferii do centrum świadomości. Jeden z nich opowiedział, jak obudzony się kwietniowego ranka zobaczył z od dali nasze domostwo otoczone przez oddział enkawudzistów. Ja sam nie czułem całej grozy tej sytuacji. Nie rozumiałem lamentujących głośno starszych sióstr. Ja skakałem po łóżku i cieszyłem się z czekającej mnie długiej podróży. I pod tym względem nie omyliłem się. Do stacji kolejowej w Postawach zawieziono nas samochodem, a stamtąd w wagonie towarowym (długi sznur takich wagonów wiozł takich szczęśliwców, którym Stalin zafundował bezpłatną wycieczkę) przez kilka tygodni tłukliśmy się po przestworach wielkiej równiny rosyjskiej. W maju pociąg wjechał na morze czerwone — bezbrzeżne stopy kazachstańskie pokryte kwitnącymi makami.

Oglądane z takim długim perspektywizmem Kresy zmieniają się wraz z upływem lat. To, co niegdyś było ogromne, tajemnicze staje się małe i zwyczajne. Trudno powiedzieć (i tym bardziej ocenić), w jakim kierunku idą te „zmiany mojego widzenia”. Można te zmiany odbierać jako postępującą degradację, katagenezę, prowadzącą ku zagładzie szczęśliwej krainy dzieciństwa. I można taką ocenę poprzeć konkretnymi obserwacjami. Wilia nie jest już Mickiewiczowską rzeką o „niebieskich licach”, i piaszczystym dnie, na którym — jak w czystym akwarium — widać było wszystkie kamyki i żyjątka. Po wybudowaniu na niej wielkiego zbiornika pod Wilejką rzeka zmieniła kolor na brudnozielony. Kiedyś wzdłuż jej brzegów biegły ścieżki i można było nimi godzinami wędrować, podziwiając zmieniający się nurt: od spokojnego i majestatycznego po szybki, jak w górskim potoku. Teraz ścieżki zarosły chaszczami i bez porządnej maczety nie sposób się tam poruszać. Duży sad wokół domu, dostarczający niegdyś dorodnych antonówek, zdziczał i zarósł trawą i bylinami na wysokość człowieka. Północna bujna przyroda odbiera to, co zostało jej kiedyś wydarte.

Jest to też skutek zmian demograficznych. Wsie wyludniają się. W niektórych co druga zagroda jest opuszczona. Jeszcze niedawno, przed kilkunastoma laty, nawet

w warunkach kołchozowych, niemal każda rodzina hodowała krowę, parę sztuk trzody chlewnej, sporo rozmaitego drobiu. Teraz tego wszystkiego prawie nie ma. Nie trzeba zbierać siana i wykaszac każdy rów i polanę w lesie. Administracja próbuje temu przeciwdziałać budując osiedla, na oko nawet niebrzydki domków jednorodzinnych dla specjalistów rolnych, ale wiele z nich stoi pustych i podczas przejazdu przez takie miejscowości przypominają się sceny z filmów i powieści z gatunku horroru lub thrillera, kiedy jakaś nieznana groźna siła zmusiła mieszkańców do panicznej ucieczki.

Starsze pokolenie, pamiętające czasy przedwojenne, kurczy się z każdym rokiem. Kurczy się zatem polszczyzna kresowa. Ostatni Mohikanie dobrze wspominają przedwojenną szkołę, śpiewają przy biesiadnym stole piosenki legionowe (Żakiewicz w czasie naszej wspólnej wyprawy chętnie wdawał się z nimi w pogawędki, traktując ich trochę jak językowych informatorów). Ale młodsze i najmłodsze pokolenia mówią głównie (i też dzięki dzisiejszej szkole) po rosyjsku. Język polski pozostał językiem kultu. W kościołach odprawia się msze i śpiewa po polsku. Ale są też nabożeństwa w języku białoruskim. Ta dwujęzyczność bierze się stąd, że księża coraz częściej wywodzą się z miejscowej ludności. W każdym razie ksiądz Wincuk Godlewski byłby zadowolony, gdyby zajrzał teraz w niedzielę do Żodziszek i zobaczył, że pierwsza msza jest odprawiana w białoruskiej mowie, a druga po polsku. O to przecież walczył.

Jeśli już jesteśmy przy sprawach wyznaniowych, to warto odnotować nową rzecz. Żodziszki i okolice były jednolite pod względem konfesyjnym. Od pewnego czasu w wielu miejscowościach w pobliżu kościołów pojawiają się cerkwie. Niewielkie, budowane tanim kosztem z białej niewypalanej cegły, z cebulastymi kopułkami z białej cynkowanej blachy. Bez bliższego zbadania trudno jest wyjaśniać przyczyny tego zjawiska. Czy jest to jakaś popierana z góry akcja, czy to naturalny przejaw migracji ludności? Trudno powiedzieć. Po katastrofie czarnobylskiej spore grupy ludności przemieściły się spod granicy ukraińskiej na północ. Mogło to przyczynić się do przesunięcia w sferze wyznaniowej.

Nic nie stoi w miejscu. Czas dotyka również tamte ziemie. Czy jest to czas tylko destrukcyjny, czy też użyczający wartości — nie sposób jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Historia — co pokazały dobitnie ostatnie dziesięciolecia dwudziestego wieku — jest nieprzewidywalna. Można to interpretować rozmaicie. Wybierzmy wersję optymistyczną.

Bogusław Żyłko

Gdańsk, wrzesień 2011

Pierwodruk: „Odra” (Wrocław) 2012, nr 6

BOGUSŁAW ŻYŁKO

Profesor emeritus

Uniwersytet Gdański, Wydział Nauk Społecznych

Instytut Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa

Zakład Semiotyki Kultury i Komunikacji Międzykulturowej

ul. Bażyńskiego 4, 80-952 Gdańsk, Polska

e-mail: b.zylko@ug.edu.pl



Sierpień 1976 r. Zbigniew Żakiewicz i Feliks Gromyko, nasz gospodarz w Żodziszkach



Sierpień 1976 r. Zbigniew Żakiewicz i Feliks Gromyko przed bramą kościelną w Żodziszkach



Sierpień 1976 r. Zbigniew Żakiewicz i Feliks Gromyko przy płycie z napisem „Matka i serce syna”
(Wilno, cmentarz na Rossie)

